

Cierpiący rockendrollowiec

Być jak młody W., reż. Mariusz Babicki, Teatr Lubuski w Zielonej Górze



JOANNA OSTROWSKA

Doktor habilitowana kulturoznawstwa, adiunkt w Zakładzie Performatyki Instytutu

AA A



Nie wiem, czy *Cierpienia młodego Wertera* są nadal lekturą szkolną. Jeśli nie – nikt ich pewnie już nie czyta.

Ja zapoznałam się z utworem Goethego właśnie w czasach szkolnych i było to dla mnie duże odkrycie. Nie tyle ze względu na treść, środki literackie, język czy inne tym podobne sprawy, ale na całkowitą nieprzystawalność interpretacji zamieszczonych w podręczniku języka polskiego (Werter jako romantyczny wzór osobowy, podtyp: nieszczęśliwy kochanek) do tego, co sama z utworu wyczytałam. Nieszczęśliwy młody człowiek zabił się nie tylko z powodu źle ulokowanej

miłości, ale z powodu całokształtu niesatysfakcjonującego życia. Moje prywatne doświadczenie nauczyło mnie także, że każda, nawet najbardziej fascynująca książka może stać się niezmiernie nudna, jeśli tylko zostanie lekturą szkolną.

Tak właśnie przedstawia się „młody W.” (James Malcolm), bohater monodramu z Lubuskiego Teatru *Być jak młody W.* autorstwa i w reżyserii Mariusza Babickiego. „Największy nudziarz” – tak mówi o samym sobie W. po przeczytaniu własnych losów autorstwa Goethego. Mam wrażenie, że punkt wyjścia dla spektaklu Babickiego był nieco podobny do tego, czego doświadczyłam w szkole. To próba polemiki z utrwalonym obrazem Wertera jako mdłego i nieszczęśliwego kochanka, próba rozprawienia się „realnej” osoby z własnym utrwalonym w literaturze wizerunkiem. Dlatego spektakl zaczyna się bardzo „edukacyjnie”.

Widzowie czekający w foyer na wejście na Scenę Kameralną zostają podzieleni na kilkuosobowe grupy. Każda z nich zostaje wprowadzona innymi niż zwykle schodami na górę. Tam wita nas siedzący na krześle Pan (nie został uwzględniony w programie), który zapowiada, że znajdujemy się w sali Wertera i za moment rozpocznie się pokaz o nim. Tym samym zostajemy wprowadzeni jakby do nowoczesnego muzeum, które swoją narrację wzbogaca o edukacyjne animacje. Na miejscu na widowni przechodzimy przez ekspozycję-scenę, ale widzowie zachowują się jak w teatrze, a nie sali muzealnej – najkrótszą drogą przemykają do swoich miejsc, nie poświęcając wiele uwagi „eksponatom”: bezgłowemu manekinowi w białej, romantycznej sukni, kartkom rozsypanym na podłodze czy siedzącemu przy solidnym drewnianym biurku mężczyźnie, którego twarz jest póki co niewidoczna, bo górna połowa jego ciała leży na blacie. Nad sceną wiszą duże kolorowe zdjęcia przynależące zupełnie innej epokę. Są na nich fragmenty ciała (jeśli dobrze udało mi się rozpoznać samego aktora: kawałek widzianej od tyłu głowy, wykadrowane oko, dłoń, kawałek ust, stopa, fragment korpusu z ręką – to Werter „rozebrany na części”, gotowy na to, by go zanalizować. Tę analizę połączoną z przedstawieniem treści utworu Goethego na początku pokazu słyszemy z offu, wypowiadana jest instrukcyjnie modulowanym głosem (Robert Czachowski). Postać (James Malcolm) w tym czasie wykonuje nieco mechaniczne ruchy ilustrujące tę słowną opowieść. Do pewnego momentu daje się prowadzić interpretacji i analizie słyszanej w głośnikach, ale w pewnym momencie głośno krzyczy: „Nie! Nie!”. To początek buntu młodego W., który nie może zgodzić się na Wertera – postać literacką w takim kształcie, jaki nadał jej Goethe. Od tego momentu młody W. rozpoczyna rozprawę z trzema mitami, które zamieniły go w „największego nudziarza”: Goethem, Lottą i śmiercią.

Konstrukcja tej opowieści jest taka, że przemieszczamy się gdzieś między dziewiętnastowiecznym romantyzmem a naszym teraz, przy czym Werter jest jednocześnie żywy jakimś wampirycznym bytem, który pozwolił mu przetrwać wieki i własną śmierć, a równocześnie rzeczywiście popełnił samobójstwo. To rozciągnięcie czasowe postaci widać już w samym kostiumie młodego W. Jego postać ma na głowie perukę z harcapem, ale wraz z upływem czasu ta fryzura staje się coraz bardziej potargana, szalona, upodabniając bohatera do Toma Hulce’a grającego Mozarta w filmie Miloša Formana. Pod szyją, nad czymś co wygląda na zapinany ukośnie frak, jest niedbale zamotany szal, który mógłby być fularzem, gdyby się nie rozluźnił. Im dalej, tym kostium wygląda dziwniej: wspomniany już frak jest z czarnej skóry, a po rozpięciu wygląda jak współczesna marynarka, spod której wystaje biała luźna koszula. Uzupełnione to jest wąskimi, też czarnymi skózanymi spodniami, a na nogach młody W. ma regularne głany. Wraz z rozwojem opowieści ten strój poprzez rozpinanie, odejmowanie elementów przeistacza bohatera z człowieka romantyzmu w quasi-współczesnego, lekko awangardowego *freaka* i o ile na początku historii Werter przypominał Mozarta, to pod jej koniec upodobnia się do Jima Morrisona – w jego wcieleniu Lizzard King. Wrażenie to potęguje jeszcze sposób, w jaki Malcolm-młody W. wyszeptuje, wykrzykuje i wypiewkuje swoją wersję historii i opis środowiska, którego był częścią; to, jak trzyma mikrofon, jak się przed nim pręży. Jego własna opowieść mówi o ludziach jak z nowojorskiej bohemy lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. On sam tak się zresztą przedstawia – jako prawdziwy założyciel „Klubu 27” zrzeszającego tych artystów, którzy zmarli, mając właśnie tyle lat: Hendrix, Morrison, Cobain, Winehouse...

Ten Werter mówi o sobie, że jest rockendrollowcem. Towarzyszą mu dymy, mikrofon, perkusja, buntownicze pozy – cały sztafaż artysty wyklętego. On ma mu pomóc rozprawić się z kolejnym mitem – nieszczęśliwą miłością do Lotty, która w jego wersji staje się tylko „jedną z wielu”. Próbuje nas o tym przekonać, odgrywając sam przed sobą i przed nami scenę wywiadu, jakiej udziela jako gwiazda seksownej dziennikarce. A jednak coś ciągnie, żeby zadzwonić do dawnej ukochanej, by samego siebie przekonać, że nic dla niego nie znaczyła. Nie może znaleźć jej imienia między wieloma innymi żeńskimi imionami, jakie ma w swoim notesie. Kolejnym wyczytywanym imionom towarzyszy drobny komentarz zawarty w intonacji, z jaką wypowiada imię, czy w geście, jaki temu towarzyszy. A jednak pod koniec spektaklu okazuje się, że Lotta była kimś więcej niż przygodą. W finałowej scenie wyimaginowanej wspólnej kolacji namawia ją, by z nim uciekla – jej mąż, Albert, już się postarzał, a on został na wieki młody. I Lotta – znów głosem z offu (Joanna Świrska) – zgadza się i snuje marzenia, gdzie mogliby razem pojechać. Czy więc w tej wersji Werter nie skończy sam ze sobą?

Zanim okaże się, że jednak nie tak do końca potrafił rozprawić się z Lottą, w scenie przypominającej *talk-show* Werter opowiada o swoim samobójstwie, ukazując w quasi-zabawny sposób wszystkie trudności, jakie napotyka człowiek, który postanowił pałąć sobie w łeb. W tej scenie Werter mówi po polsku z silnym niemieckim akcentem, kalecząc polskie słowa i wtrącając całe zdania po niemiecku. Jest tu „tym innym”, ale jednak stereotypowym Niemcem. W finałowej scenie wyimaginowanej kolacji z Lottą Werter jest już całkiem współczesnym młodym mężczyzną, zdejmując perukę – ostatni element kostiumu, który jeszcze łączy go z romantyczną postacią. Wtedy na jego skroni widać czerwoną, rozlaną plamę. Powrót do szczęścia nie jest możliwy.

Zastanawiałam się, czemu miałby służyć spektakl dialogujący z postacią Goethego. Ukazaniu, że każda tożsamość jest przede wszystkim performansem i narracją, jaką o niej stworzą inni? Próbie polemiki z utrwalonymi stereotypami na temat romantyzmu? Stworzeniu jeszcze jednej, inaczej opowiedzianej historii o wielkiej miłości, która trwa poza śmierć? Spektakl Babickiego był po części tym wszystkim, ale równocześnie każdy z tych wymiarów jedynie musnął. *Być jak młody W.* to przede wszystkim popis aktorski Malcolma, który prezentuje w nim w takim samym stopniu postać, jak i siebie samego – aktora wszechstronnego, który potrafi grać na różnych strunach i nastrojach – być ironiczny, sarkastyczny, kabotyński, ale i liryczny, grać mocno fizyczne aktorstwo i wdzięcznie interpretować słowa, ciekawie śpiewać. Te siedemdziesiąt minut w teatrze poświęcone jest przede wszystkim jemu. A Werter? Wiadomo – cierpiał. Ważne, że spektakl o nim nie jest dla widza cierpieniem.

31-05-2017

GALERIA ZDJĘĆ

BYĆ JAK MŁODY W., REŻ. MARIUSZ BABICKI, TEATR LUBUSKI W ZIELONEJ GÓRZE



ZOBACZ WIĘCEJ



Teatr Lubuski w Zielonej Górze

Być jak młody W.

reżyseria i dramaturgia: Mariusz Babicki

scenografia i kostiumy: Monika Ostrowska

muzyka: William Malcolm

obsada: James Malcolm

premiera: 12.05.2017

TAGI: Mariusz Babicki, Zielona Góra, Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego,

Udostępnij

SKOMENTUJ

Autor

lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:

trzy plus dziesięć jako liczbę:



KOMENTARZE (0)